

K. A. CZYŻOWSKI.

SĘDZIA

(Szkic).

I.

Siedział w samym kącie zadymionej dokładnie winiarni i jasnymi, niebieskimi oczyma spoglądał dokoła. Nikt go nie znał. Początkowo zwracano na niego uwagę, bo przecież zbierali się tu tylko w swojej kompanii. Ktoś spytał żyda, starego Mückenbruma, kto to taki.

— Nie wiem. Widać przyjezdny. Wstąpił i poprosił białego chleba i ćwiartki wina.

— jakiś spokojny gość?

— Dlaczego nie ma być spokojny? Niech pan patrzy, jak cicho siedzi w kącie i tylko czasem swoje wino popija.

I dano mu spokój.

Wino tymczasem wszystkim krew zagrzewało i poczęło coraz szybciej krążyć w namiętnych słowach i giestach.

Był Wielki Piątek. Pół święto, a pół oczekiwanie święta, — kompanja się załem zebrała znamienita.

Pan radca magistratu, znany biurokrata, dowodził radcy miejskiemu z partji socjalistycznej, że tylko etatyzm, bezwzględny posłuch władzy i solidne wypełnianie ośmiu godzin biura, wprowadzą miasto, powiat, ba — społeczeństwo całe i państwo, na dobre drogi. Pan radca miejski z nałogu i obowiązku przedstawiciela opozycji, oponował.

Pan doktor Paweł, ubolewał nad szerzącą się ignorancją chorób.

— Dawniej panie, obcas kogo zabolat, laził panie do doktora i płacił za wizytę. A dziś, ma to panie dziedzinie homoroidy w najwyższym stopniu i zamiast leczyć się, sam sobie panie czopki preparuje. Z głodu panie zdechnąć można.

Pan profesor gimnazjalny za guzik trzymał stolarza Oliwę i tłómaczył mu teorię niezniszczalności energii.

W drzwiach stał stary pocciwy Mückenbrum i wszystkim się przysłuchiwał, od czasu do czasu zabierając głos gospodarski, t. zn. uciszający.

Tylko on, nieznany nikomu, przez nikogo nie nagabywany, siedział w kącie milczący i jakby zadumany.

Dyskusje s'awały się coraz gorętsze i namiętniejsze. Z ogólnych tematów powoli przechodzono na osobiste bolączki. Już socjalistyczny radca atakował prezydenta miasta, dyskretne, ale przecież wszystkim wiadomymi „brudami”, na co pan radca magistratu wzruszał ramionami na znak „trudno, wiemy coś o tem”. Lekarz innych lekarzy wyzywał od nieuków i szantażystów, a pan profesor osłem n'zwał drżmiącego stolarza Oliwę, co tego ostatniego odrazu rozbudziło.

Weszło z ul cy kilku jeszcze kompanów i dośiadło się do stolków.

Opary wina pomieszane z tytoniowym dymem, tworzyły jakąś dziwnie makabryczną atmosferę.

Zwolna prym wzięło narzekanie i szukanie samych złych stron życia.

Zmęczeni dyskusjami zamilkli na chwilę i wtedy wybił się nad zalany winem i zastawiony szklanekami i faszczami stół, skrzypiący czyjś głos, przypominający złowieszcze skrzeczenie wron. Wtedy niebieskie, jasne oczy nieznajomego przypatrzyły się skrzeczącemu mówcy.

Był to były pisarz sądowy, którego za rozmaite brzydkie sprawki i piękne łapówki, usunięto ze służby państwowej. Jego czerwona, pokryta krostami twarz, fioletowy nos i przebiegłe, maleńkie jak u szczura żółte oczy, były aż nadto dokładną wizytówką.

Przez usta nieznajomego przebiegł bolesny uśmiech.

Z głosu pisarza skrzypiącego przedziwne wiadomości, sączył się jad jakiś i przynębianiem wciągał się w atmosferę. W jadzie tym jakby szumiła treść słów, jaknajdokładniej dobranych do formy głosu.

Milczeli wszyscy biernie, a pisarz sądowy coraz bardziej skrzypiał, zanosząc się w pewnych momentach pijaczym śmiechem.

— Che, che, che, — milczyciel Boicie się ze mną podyskutować? Proszę, proszę, może

kto z was ma ochotę posłuchać swego sumienia? Może pan radca magistratu pragnie dowiedzieć się o prawdziwej gospodarce miejskiej? Są jeszcze do nabycia cztery place miejskie. Che, che, — ma pan już dość? — A pan, panie rajco socjalistyczny, czy nie ma pan przypadkiem do nabycia jakiego nowego „towarzystwa” szantażu? W zamian służę kilkoma kompromitacjami konserwy i centrum. Wczoraj właśnie coś nie coś tam wypłynęło na wierzch.

Milczeli wszyscy, jakby nie jego, a własnych głosów słuchali.

— Che, che, che, — pan doktor widzę zmarłwiony. Niesłusznie, bardzo niesłusznie. Przecież ta sprawa ze śmiercią, przez pomyłkę, ubogiej wdowy, nie wykryła się jeszcze. Może się jeszcze okazać, że ja własne dzieci zabiły. Bo gdzież to kto widział żałować na lekarza. — Prawda? Inaczej się przecież leczy się za pieniądze, a inaczej za darmo, czy za pół darmo.

Twarz doktora złowrogo bysnęła oczyma, ale wnet pochylili się ku stołowi.

— Cóż tam panie stolarzu? Dużo się udało skraćć materiału z państwowej budowy poczty?

— Milcz drabie.

— Che, che, — dlaczego gołąbku mam milczeć? Dlaczego? Czy to nie przy jednym z tobą siedzę stole? Przecieżemy kompani.

— Kryminał ci kompanem, nie ja.

— Ty, ty, mój staruszk. Taka tylko między nami różnica, że moje złodziejstwa już się wykryły, a twoje i was wszystkich nie jeszcze. Ale pocieszcie się, wykryją się i one. Wiem coś o tem dokładnie.

Zaniepokojenie nagle przeleciało po winiarni i wszystkie pobladłe twarze zwróciły się ku pisarzowi. A w oczach wszystkich gorzał blask niepokoju i nienawiści.

— Mów kanaljo, co wiesz? — syknął magistracki radca.

— He, he, chcielibyście wiedzieć odrazu? Namyślcie się, a zgadniecie.

— Przyjechał?

— A kto?

— On, nowy sędzia.

— Aha, boicie się, że nowy sędzia przyjechał? Broiło się co nie miara, naskrobało się grzechów sporą kupkę, a teraz strach przed nowym sędzią? Tak, tak, przyjdzie pokwitować. Przyjdzie i wam tak jak mnie chodzić po dziurach i szynkach i szukać „zarobków”.

— Nie filozofuj! Mów co wiesz!

— Przyjechał, przyjechał.

— Gdzie jest i kto on taki?

— Ho, ho, chcielibyście się wszystkiego odrazu i zadarmo dowiedzieć.

Postawiono przed nim sporą flaszkę.

— Masz psie, mów.

— Jakem pies, nie powiem nic. Gińcie sobie po kryminalach. Ktoś rzucił zmięty banknot.

— Za mało. Wiem dużo.

Ktoś jeszcze coś dorzucił.

— Więcej wiem. Mogę go wam wydać w ręce, byście sobie z nim poradzili.

Posypały się banknoty. Zakrzywione chciwie palce zgarnęły szeleszczące papierki do kieszeni.

— Tak to co innego.

— Mów zaraz.

— Niech on mówi, kto on taki i po co tu wlaź.

Wskazał szponem na nieznajomego.

I nagle wszyscy go znowu spostrzegli. Już zapomnieli o nim, nikt nim się nie zajmował, aż tu — nagle, w jednej chwili, zrozumieli, że on cały czas siedział wraz z nimi w jednej izbie i słyszał wszystkie ich rozmówki i słyszał wszystkie oskarżenia pisarza.

Bladzi i drżący nienawiścią powstali ze swoich miejsc i posunęli się ku niemu. Ale on jasnymi oczyma spoglądał ku nim i uśmiechał się tak jakoś boleśnie, jakby tu właśnie po to przyszedł, aby przeciwko niemu powstali.

— Ktoś ty?

— Wędrowcem jestem.

— Pociąg tu wszedł?

— Wstąpiłem wina się napić i zjeść kawałek chleba.

— Przyszedłeś podsłuchiwać nas.

— Mówiliście głośno i słyszałem was. Ale jeśli chcecie, zapomnę o tem,

— Tyś nowym sędzią jest?

— Nic nie wiem o tem.

— Nie wiesz? A czemu się tak uśmiechasz, jakbyś jutro nas wszystkich stracić miał?

— Zabijcie go! — Zachrypiał głos.

— On z was się śmieje!

— Ktoś ty?

— Czemu milczysz?

— Pociąg tu wszedł?

— Szpieg!

— Zdrajca!

— Zabić!

Bysnęła szklanka w powietrzu i z bladego czoła popłynęła cienka struga krwi. Ale on ręki nawet do czoła nie podniósł i krew ciekła do szklanki z niewypitem, jasnym winem.

— Dlaczego mnie bijecie? Czyż powiedziałem komu z was choć jedno złe i przykre słowo?

Posuwali się ku niemu groźnie, gdy milczał, ale gdy przemówił, głos jego jakiś słodki i cichy, zatrzymał wszystkich na miejscu. Od oczu jego nie mogli swoich oczu oderwać.

A on uśmiechając się, jął mówić tak, jakby nie do nich, a do siebie mówił.

— Dlaczego źli jesteście? Czyż nie wiecie, że złość wasza przeciwko wam się obróci? Nie jestem sędzią. Wstąpiłem do tej winiarni, aby zjeść kilka orzechów, czy chleba i wina napić się. Niechcący usłyszałem skargi wasze. Słowa wasze pełne żalu i goryczy, pełne niezadowolenia z życia, bolały mię i dlatego mówię. Oczy wasze niepokojem: palą się i chciałyby ukryć prawdę o was. Dlaczego? — Dlaczego? — Czy prawda wasza aż tak jest złą? — Nie, na pewno nie. Możecie ulegli pokusom i pełnili nie według sumienia. Możecie nędze i biedę cierpieć i bogactw wam się zachciało? Możecie korzystać ze swej siły, nie wiedząc, że słabszych zabijacie? Oto uderzyliście mię i rozcieli szkłem czoło moje, za to, że się ku wam uśmiechał. I oto tak samo rozcinacie i mordujecie życie swoje własne, za to że się ku wam śmieję i uśmiecha. Pokój wam ludzie. Niech oczy wasze przestaną gorzeć nienawiścią, a słowa wasze niech nie kłamią o was. Nie sędziego nowego, ale siebie bójcie się. Oto ja nie mam nic, prócz serca, a wiem co to jest jasność i spokój. Wróćcie do domów i oddajcie, co nie wasze... Kochajcie kogoście nienawidzili... i zapomnijcie uraz i krzywd... i życcie wszystkim dobrze, aby wam dobrze wszyscy żyć.

Prawił długo tak, jakby do siebie mówił. Pochyliły się wszystkich głowy na piersi i oczy łzawą mgłą nawilgły.

Już dawno znikł gdzieś zawiedziony pisarz, a żyd, stary Mückenbrum drzemał za ladą z bezczynności.

II.

Biły dzwony na Rezurekcję i procesja lada chwila miała wyruszyć z kościoła. Tłum zaległ cmentarz kościelny i szeptał pomiędzy sobą. Oto procesję miał prowadzić nowy, młody ksiądz, o którym od dwóch dni cudowne wprost legendy zdążyły miasto całe oblecieć.

— Podobno głos ma jak Serafin, a ręce jego same się modlą.

— Był w szpitalu dla dzieci i jak mówią kilkoro dzieci uzdrowił.

— Dziś rano miało się dwunastu zatwardziałych i złych ludzi nawrócić..

— Mówią, że nic nie ma własnego, bo wszystko uboższemu rozdaje...

— A tam gdzie był, wszędzie go świętym nazywali...

— Wiecie, że kiedy tylko przyjechał napadł go ten pijaczyna pisarz i głowę mu rozbił, a on miał go za to pocałować.

— Ale gdzież tam. Podobno pisarz w nocy się powiesił...

— Ale patrzcie ile ludzi. Tyle tłumy na procesji dawno już nie było...

— Aby tylko z sercem przyszli a nie z samej ciekawości...

Rozwarła się brama kościoła i radosne, niebiańskie „Alleluja” zabrzmiało w wiosennym powietrzu.

Dzwoniły dzwonki i dzwony, dymiły wonne kadzidła, tłum płynął rozmodlony pieśnią zwartych wstania, a wśród tłumy pod baldachimem, z złotym kielichem w ręce szedł On, o niebieskich jasnych oczach, z blizną zaschniętą na czole.

A baldachim niosło dwóch radców, magistracki i socjalistyczny (bo przecież Chrystus był pierwszym socjalistą), profesor gimnazjalny i stolarz Oliwa.